



Tam Lin i Królowa Elfów

prastare legendy
i opowieści
z Wysp Brytyjskich

Armoryka

**Jeśli chcesz połączyć się z Wydawnictwem
i Księgarnią Internetową „Armoryka”
aby zapoznać się z jego pełną ofertą
kliknij na link poniżej:**

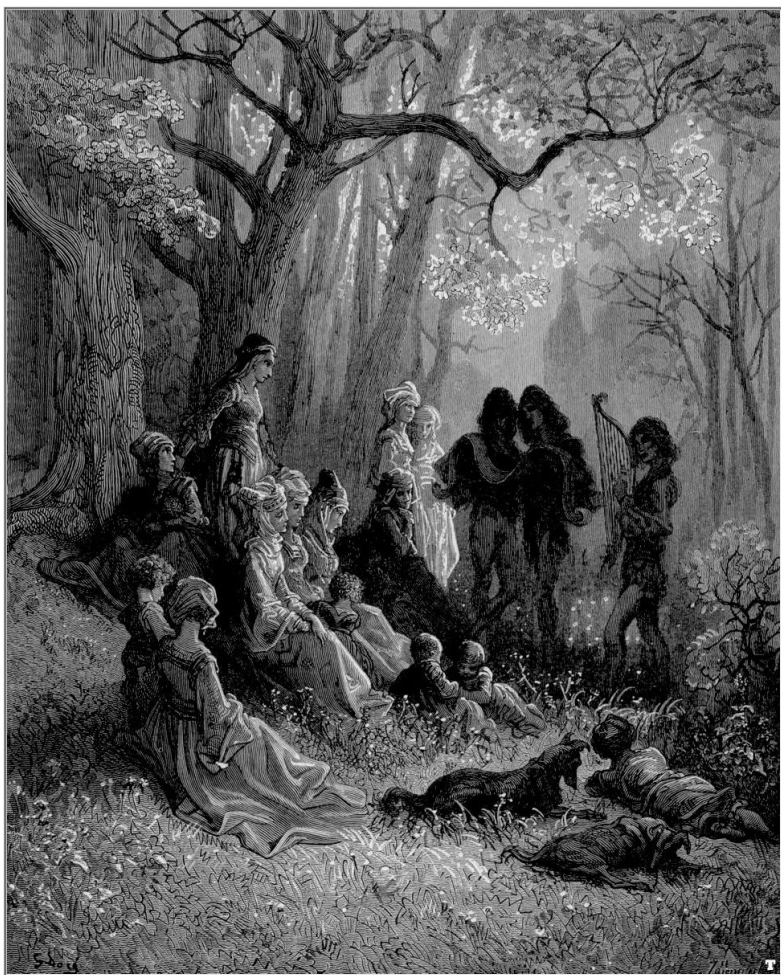
<http://armoryka.strefa.pl/>

Tam Lin i Królowa Elfów

**prastare podania, legendy i opowieści
z Wysp Brytyjskich**

opowiedział Andrzej Sarwa

**Armoryka
Sandomierz 2008**



Podania, legendy, opowieści...

Przygoda króla 7

Fiann i biała łania 21

Opowieść o Zaklętej Krainie 39

Tam Lin i Królowa Elfów 71

Rycerz i Alison Gross 101

Przygoda króla na motywach starej angielskiej ballady



Qziało się to dawno temu w zielonej, wesołej Anglii, w czasach kiedy na świecie nietrudno było spotkać gnomy, czarnoksiężników, więdźmy, czy dobre wróżki. Za-tem działo się to w czasach, kiedy życie, chociaż może bardziej proste i surowe, przecież było ciekawsze, a i nietrudno było przeżyć ciekawą przygodę.

Otóż właśnie wówczas przed wielu, wielu laty, dobry król znudzony dworskim życiem, postanowił przewietrzyć się nieco, dać głowie odpocząć od ustawicznego rozpamiętywania o tym, jakby tu najrozsądniej rządzić krajem, żeby rósł w potęgę, a sąsiedzi nie mieli odwagi go napaść.

Pomyślał monarcha, że najlepiej wypocznie w kniei, gdy zasadzi się na odyńca, albo pogoni za roslým jeleniem.

Ponieważ ranek wstał rzeński, słońce świeciło wesoło, skrzac się w kropelkach rosy osiadłych na źdźbłach traw w królewskim ogrodzie, ptaki śpiewały radośnie w koronach

drzew, a leciuchny, ledwo wiaterek przeganiał precz spiekotę i upał, władca zwołał swoich dworzan i oznajmił, że nie zwlekając, zaraz po śniadaniu, wyruszą na łowy.

Cieszyli się lordowie, bo i im dokuczwała monotonia pałacowego życia, a że wielu z nich były to chłopcy na schwał, a nie lalusie i paniczki, radość ich nie miała granic, iż oto przyjdzie zakosztować prawdziwie męskiej rozrywki.

I nim słoneczne promienie zdążyły osuszyć rosę błyszczącą na źdźbłach i kwiatach, drużyna w gotowości czekała na swego monarchę. Konie niecierpliwie grzebały kopytami, od czasu do czasu rżąc z cicha i potrząsając grzywami.

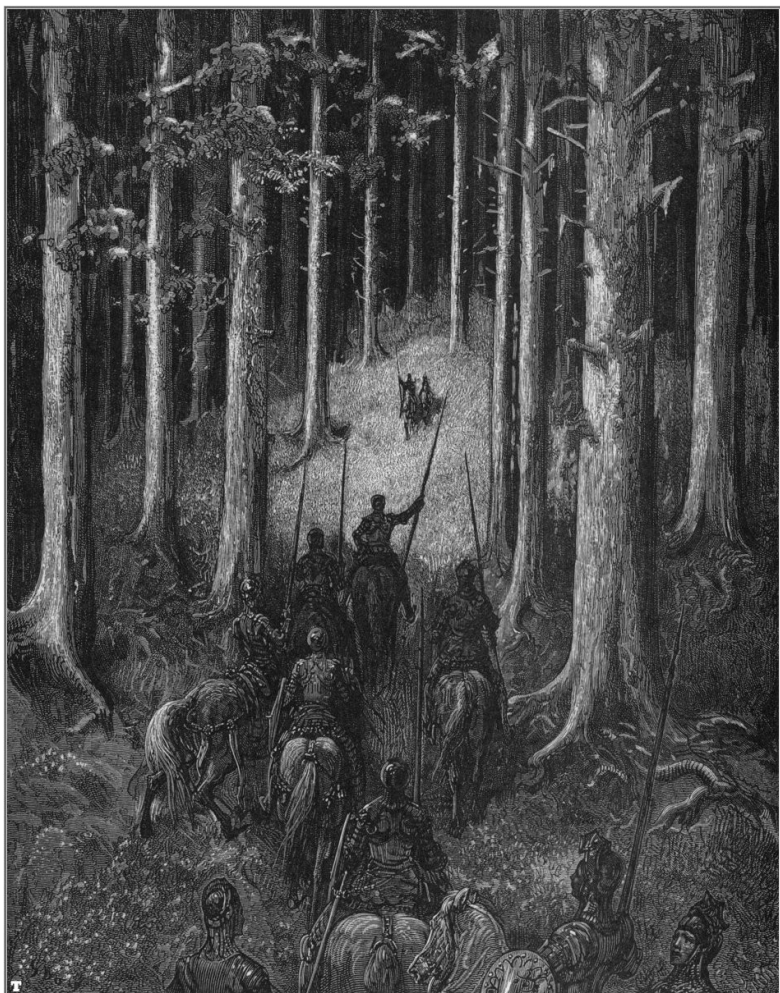
Król wyszedł z zamku, dosiadł mlecznobiałego ogiera – swego ulubieńca – i trąciwszy go z lekka ostrogami, pocwałował drogą wiodącą ku lasom rozciągającym się nieopodal stolicy.

Ach, jak było wspaniale. Pęd upajał władcę, przymusił zatem konia do szybkiego biegu, a ponieważ nikt więcej nie miał tak rączego wierzchowca, rychło król odsadził się od swojej drużyny, zostawiając ją za którymś tam zakrętem polnej drogi, grubo okrytej kurzem.

Gdy wjechał pomiędzy pierwsze drzewa puszczy, zwolnił i poprowadził teraz konia stępą. Odwieczny las onieśmiał go nieco. Miał w sobie coś z majestatu gotyckiej katedry, która strzelistością swych murów i wież zdawała się nurzać w błękitach firmamentu.

Tutaj, w puszczy, prawiekowe olbrzymy o grubych, wysmukłych pniach wspinały się wysoko, wysoko... Wokół panowała cudowna, kojąca cisza, podkreślana tylko lekkuchnym szmerem gałęzi ocierających się o siebie i śpiewem ptaków, który niczym nie ustępował pięknu chorałów gregoriańskich, jakie mnisi śpiewali o jutrzni.

Naraz – zaszeleściło coś wśród krzewów, i król wypatrzył dorodnego jelenia o potężnym wieńcu rogów na głowie.



Czarodziejski nastrój prysł. Zagrała w monarszych żyłach krew myśliwego.

Zdjął z pleców łuk, wydobył z kołczanu smukłą strzałę zakończoną ostrym żelaznym grotem, o belcie z czaplich piór, wymierzył i strzelił, zadzwoniła cięciwa radośnie, gdy wypuszczał ją z palców, potężny jeleni ugodyzony boleśnie nie upadł jednak lecz uderzywszy raciami o ziemię, popędził przed siebie, znacząc ślad ucieczki posoką rozpryskującą się wokół.

Pogoń nie trwała długo. Ot, ze dwie godziny może. Wreszcie król dopadł zwierzę. Dobił je oszczepem i spętawszy rzemieniami nogi, przytroczył do końskiego grzbietu.

Sam nie wskoczył już na siodło i wiódł wierzchowca za uzdę, nie chcąc zmęczonemu stworzeniu przydawać jeszcze i swego ciężaru do wagi jelenia.

Miało się pod wieczór i władca rad byłby co rychlej wydostać się z lasu. Nie uśmiechało mu się bowiem noclegowisko w wykrocie, na posłaniu z mchu i paproci. Przyspieszył zatem kroku, licząc że trakt wiodący ku stolicy winien osiągnąć nim jeszcze słońce skryje się na dobre poza linią widnokregu.

Aż oto naraz, poza gęstwiną szeroko rozrośniętych krzaków, zamajaczył mu kształt jakiś zwalisty, przypominający bez ochyby chatę. Zaciekawilo go to, skreślił więc ze ścieżki, którą podążał ku gościńcowi i minawszy zarośla ujrzał coś, czego raczej w tej części lasu nie spodziewał się ujrzeć.

Oto stał przed domem. Bardzo starym domem. Modrzewiowe bale, z których ongiś zbudowali go cieśle, krzepkie jeszcze były z wyglądu, wszakże w istocie spróchniałe, na dodatek gęsto pokrywał je mech, a ze szpar pomiędzy bierwionami tu i ówdzie wyrastała kępa zielska. Krokwie powyginały się, brakowało wielu gontów, tak iż cały dach dziurawy był niczym rzeszoto.

Obrazu całości dopełniały maleńkie okienka i wykoślawione drzwi, które zgoła nie broniły dostępu do wnętrza. Podszedł ku nim król, pchnął ręką, a one, z przeraźliwym skrzypieniem przerdzewiałych zawias, rozwarły się na całą szerokość.

Zawahał się władca co dalej czynić: wracać do stolicy, czy raczej może zbadać ową chatę, która mocno go zaintrygowała.

„– Ostatecznie – pomyślał – mogę w niej przenocować. Mam płaszcz, zatem będzie się czym przykryć. Zamiast poduszki posłuży mi siodło. Upiekę sobie kawał jeleniego mięsa nad ogniskiem, a zapiję to przednim winem, które wiozę w pękatym bukłaku. Zawszeć to ciekawa przygoda przenocować w samotnej, zrujnowanej chacie w środku lasu, nie wiedzieć przez kogo ni kiedy wzniesionej. A może przyśni mi się tu coś niezwykłego?”

Jak postanowił, tak też i uczynił. Wciągnął do sieni ubitego jelenia, rozsiadł konia, spętał go i puścił na bujną słodką trawę jakiej nie brakowało wokół domostwa, żeby stworzenie po całym dniu wysiłku mogło odpocząć i do syta napęłnić pusty brzuch.

Sam zaś gwizdnął na psy, które przez cały czas towarzyszyły mu w pogoni za jeleniem, posadził sobie sokoła na rękę, bukłak z winem wziął w drugą i wszedł do wnętrza największej izby tego obszernego domostwa.

Rozejrzał się bacznie dokoła. W powietrzu czuć było grzyb i stęchliznę. Zbutwiała, przegniła podłoga załamywała się pod jego stopami. W rogu izby dostrzegł kominek umurowany z polnych kamieni. Ucieszył się na jego widok, bo mógł zeń skorzystać i roznieciwszy ogień, tutaj przyrządzić pieczeń, na którą coraz bardziej ciekła mu ślina.

Pośrodku izby stał jeszcze wielki dębowy stół, brudny i zakurzony niemilosiernie, a wokół niego proste zydle tak samo jak i on brudne. Przy ścianie zaś, pod jednym z okienek,

łoże obszerne, które mógł wymościć mchem i jedliną. Zatem właściwie niczego nie brakowało władcy.

Nałamał suchych gałęzi, nabierał chrustu, zniósł wielki stos paliwa do wnętrza domostwa, wykroił spory kawał jeleniej szynki, nadział go na zaimprovizowany rożen, który wystrugał z gałęzi jałowca i już–już miał się zabierać do przygotowywania wieczerzy, gdy oto naraz, nie wiedzieć skąd, czy ze zbutwiałych ścian, czy też spod spróchniałej podłogi, wypełzło ohydne monstrum o kobiecych kształtach.

Jej szpetota była przerażająca i wprost trudno ją opisać. Wielka, zwalista, potężna, wysoka baba, o sinofioletowej gębie z rzadka porosłej krótką siwą szczecią, na brodzie, policzkach, a nawet na czole. Zęby miała niczym słupy, nos podobny do maczugi, zaś długie, skołtunione włosy, niemiłosierne brudne i tłuste, pozlepiane w strąki, opadały jej na plecy i ramiona.

Stała przed królem okryta jakimś starym lachmanem. Postrzępionym i nie mniej brudnym niż jej ciało, które miejscami przeświecało przez niezalutane dziury.

Władca na ów widok zrazu się przestraszył, lecz później pojawiwszy, że z człowiekiem, tyle że paskudnym, sprawa, ze wstrętem odwrócił głowę, nie chcąc patrzeć na szkaradę i jednocześnie myśląc, że chociaż noc już się zbliża, lepiej będzie czym prędzej ruszać w drogę ku stolicy, nawet jeśli by przyszło mu jechać o głodzie i po ciemku, niżeli mieć noclegowisko pod wspólnym dachem z ową przerażającą maskarą.

Tymczasem ona zaśmiała się chrapliwie. Jej śmiech przypominał nieco końskie rzenie, w niczym natomiast śmiech zwyczajnej ludzkiej istoty, a potem rzekła:

– Ej, ty! Piękny panie! Widzę żeś rycerz, a brak ci dworności! Czyż byś oślepl? masz przed sobą damę! Nie byłbyś łaskaw się przedstawić?

Owe słowa przypomniały monarsze, iż jako pasowany rycerz, winien jest damom zawsze cześć i uwielbienie. Wszak

przysiągł kiedyś, że bronić je będzie i wspomagać w potrzebie. Przewyciężając zatem wstręt w sobie, jak na prawego rycerza przystało, skłonił się dwornie, pozdrowił ją grzecznie i rzekł:

– Jestem królem, władcą tej krainy.

– Ho, ho – znów roześmiała się poczwara. – Ach! Cóż za zaszczyt gościć w moich skromnych progach samego monarchę! Jeszczem kogoś takiego nigdy tu nie miała!

Umilkła, wpatrując się w królewską twarz kaprawymi, przekrwionymi oczkami, a potem dodała:

– Przecież słyszałam i ja o tobie, choć mieszkam w tej głuszy. Podobno panie przed kilkoma laty ślub uczyniłeś, że żadnej niewieście nie odmówisz, że jeśli któraś z naszego rodzaju prosić cię będzie, zawsze wysłuchasz. Chyba żeby spełnienie tej prośby nie leżało w ludzkiej mocy? – zapytała wiedźma.

– Tak, to prawda. Lecz zanim pani mnie o coś poprosisz, przyjmij mój płaszcz w podarunku. Twoje odzienie nie wygląda pięknie i raczej nie przystoi damie.

Rzekłszy to, podał jej płaszcz wspaniały, z drogocennej błękitnej uszyty tkaniny, zdobny drogimi kamieniami, lamowany gronostajowym futrem. O, zaiste! Wspaniały był to dar i wielce kosztowny!

Ale poczwara jakby nie zauważyła tego. Zarzuciła płaszcz na ramiona, nie rzekłszy ni słowa podzięką i wychrypiąła:

– Skoroś przysiągł, że nigdy nie odmówisz damie, mam panie takie oto życzenie:

– Słucham cię pani. O ile to w mojej mocy, życzenie wypełnię.

– Zatem nakarm mnie, panie, bom okrutnie głodna. Niczego jednak nie chcę jeść prócz mięsa!

Wciągnął więc monarcha do izby jelenia, lecz nim zdążył wyjąć z pochwy nóż myśliwski, aby oprawić zwierzę, by móc wyciąć zeń drugą porcję i przyrządzić smakowitą pieczeń, potworna baba odepchnęła go na bok. Rzuciła się na jelenia

i rwąc z ogromną siłą kawały mięsa, pożarła go całego na surowo, zostawiając jedynie skórę z sierścią i wyssane kości.

Patrzył król ze zdumieniem na owo widowisko. Nie spodziewał się ujrzeć czegoś podobnego. Przecież tym mięsiwem można było nakarmić kilkunastu mężczyzn. Nie dane przecież było mu ochłonać, gdy jędra ryknęła znowu wielkim głosem:

– Mało! Mało! Mój panie, zbyt mało! Jeśli nie chcesz na gniew się narazić, daj mi więcej mięsa!

– Niestety, pani, nie ma ani kęsa. Skąd o tej porze mam zdobyć coś więcej?

– Ech! Głupcze! Mięsa, albo ciebie pożrę! Albo nie, zabij twego konia!

– Nie, pani! – oburzył się władca.

– Nie?! Jakże to prędko, o królu, zapomniałeś swojego ślubowania! Czy nakarmić mnie mięsem przekracza twoje ludzkie możliwości?!

Zawstydził się władca i nie rzekłszy już ni słowa więcej, wyszedł z chaty, a po paru chwilach wciągnął do wnętrza swego wiernego rumaka, który nie tylko wierzchowcem był mu, lecz i przyjacielem.

Potworna baba, tak jak i jelenia, pożarła konia na surowo, tylko skórę zostawiła i wyssane kości. Wszakże nie koniec był to jej ohydnej uczty. Przełknąwszy ostatni kęs koniny, zażądała psów, a gdy i one podzieliły los poprzednich zwierząt, na samym końcu pożarła sokoła. Nawet nie zadawszy sobie trudu, żeby wpierw obrać go z piór.

Gdy już potężny głód swój nasyciła, rzekła:

– A teraz mnie napój, mój panie!

Więc król widząc, iż baba nie zadowoli się wodą, podał jej swój opasły bukłak z winem. Ona zaś, mimo że trunku starczyłoby dla czterech wcale tęgich biboszy, wszystko wychyliła, osuszyła bukłak do dna, dla monarchy nie zostawiwszy ni jednej kropelki. Zaiste, miła perspektywa rysowała się przed królem! Noc w zatęchłej, wpół zbutwiałej

chacie, pod jednym dachem ze szkaradną babą, a na dodatek nie mogąc zaspokoić ni głodu, ni pragnienia. Jeszcze milsza perspektywa zaś czekała go rankiem następnego dnia. Podróż na czczo i na piechotę do dosyć odległej stolicy.

Przysiadł król na skraju zniszczonego łóża. Ukrył twarz w dłoniach, rozmyślając czy kłaść się wypada, czy też winien cierpliwie czekać, aż gospodyni tej nędznej rudery pierwsza na spoczynek się uda. O ile się uda! Na razie bowiem nic nie wskazywało na to, by myślała o śnie.

Oto stanęła na wprost władcy, dłońmi niczym bochny razowego chleba wsparła się pod boki, i w takie ozwała się słowa:

– Przyodziałeś mnie, panie. Daleś jeść i napoiłeś. Postąpiłeś szlachetnie i wielkodusznie, jak prawemu rycerzowi postąpić wypadło. Zasłużyłeś na pochwałę. Ale...

– Co, ale?... – zaniepokoił się król, jakby przeczuwając, że to wcale nie koniec udręki i zaraz posłyszysz następne żądanie.

– Ale mam jeszcze jedną prośbę i chcę byś ją wypełnił.

– Jakaż to prośba? Czy idzie o rzecz trudną?

– Et, ta będzie najprostsza. Zwyczajna drobnostka!

– Mów zatem śmiało – król powstał i skłonił się dwornie.

– Jeśli drobnostka i jeśli istotnie w mojej mocy leży, oczywiście rzecz spełnię ochoczo.

– Nie zapominaj, coś, panie, ślubował!

Wiedźma podniosła do góry wskazujący palec, jakby dla podkreślenia wagi wypowiedzianych słów.

– Zatem, mój panie. Zatem chcę jeszcze jednego. Chcę żebyś, panie, natychmiast, tu i teraz, przysiągł mi miłość, wierność małżeńską, a gdy nadarzy się sposobna chwila, dopełnimy formalności przed obliczem księdza. Chcę jednak przecież, ażebyś od teraz, skoro wypowiesz słowa przysięgi małżeńskiej, miał mnie za swoją prawą i jedyną żonę.

– To już naprawdę życzenie ostatnie i więcej ich nie będzie.

Pobladał król, posłyszawszy owe słowa. Zimny pot go oblał, a jednocześnie w piersi poczuł dziwny ucisk. O czymś podobnym nawet śnić by nie chciał, nie mówiąc, że miałby przeżyć to na jawie!

Spojrzał na wiedźmę przerażonym wzrokiem.

Stała przed nim nieruchoma, wciąż unosząc ku górze wskazujący palec. Westchnął ciężko. Niestety, nie miał żadnego wyboru. Jako prawy rycerz nie mógł odmówić prośbie damy, choćby nawet była tak szkaradna, jak ta tutaj. Tym bardziej przecież nie mógł jej odmówić, wspominając ślub, który uczynił przed laty. Oto jak rzecz cała wyglądała.

Owszem, mógł uciec, zostawić poczwarę. Mógł machnąć ręką na swe ślubowanie, bo nie można wymagać od człowieka więcej niż może udźwignąć! Takie oto myśli kłębiły się mu w czaszce. Ale jednak przecież, natrętna i najgłośniejsza z nich wszystkich, przypominała o honorze.

Nie, jego nie mógł narazić na szwank! Rycerz bez honoru! Ba! Król bez honoru! To już lepiej byłoby śmierć ponieść! Ta jednak nie ma zwyczaju przychodzić na zawołanie. Zatem? Zatem cóż pozostało królowi?

Z ciężkim westchnieniem podszedł do maskary i wzięwszy jej ohydą rękę w swoją dłoń, z mocą i dobitnie wypowiedział słowa małżeńskiej przysięgi. Przyrzekł jej miłość i wierność, i uszanowanie aż po kres żywota. A skoro dopowiedział ostatnie słowo, zamknął oczy, z całej siły zacisnął powieki. By przypieczętować ceremoniał, musiał bowiem jeszcze dać pocałunek tej, którą wziął za żonę. Wolał to uczynić nie patrząc na okropną gębę. Zresztą, do pocałunku tego wcale się nie kwapił. Raczej czekał, aż to poczwara go pocałuje.

I nie pomylił się, bo naraz na wargach poczuł leciuchne muśnięcie. Tak lekkie, jak dotknięcie skrzydła motyla.

Zdało mu się to dziwne. Miękkie i delikatne usta otarły się o niego. Nie poczuł wcale kłującej szczyty na skórze ani smrodliwego oddechu z przerażającej gęby.

